Po konfiskacie nakład 2-gi

Nr. 11 (14) Warszawa, dnia 23 października 1938 r.

Cena 20 gr.

POLSKA

MYŚL NIEZALEŻNA

TYGODNIK

Jaki obywatel —
taka Rzeczypospolita

Dziesięcioro przykazań ministra Kwiatkowskiego

Z autentycznego tekstu wielkiej mowy politycznej p. wicepremiera Kwiatkowskiego, wygłoszonej ub. niedzieli w Katowicach, wybraliśmy 10 najistotniejszych wskazań, które społeczeństwo polskie winno sobie dobrze przyswoić. Wskazania te brzmią:

1) Jesteśmy pokoleniem, na które spadnie największa, historycznie bezmierna, odpowiedzialność za losy wielu generacyj i wielu wieków egzystencji nowej, odrodzonej Polski. W imię tej zasady należy codziennie przypominać w Polsce, że zawsze możemy liczyć tylko na siebie samych, że ciężar odpowiedzialności za losy państwa spoczywa przede wszystkim na Polakach. Do tej zasady musimy przystosować nie tylko nasze działania, ale co ważniesjze i nasz sposób myślenia i reagowania na sprawy publiczne.

2) Celem naszym — to odrobienie braków minionych stuleci. Celem naszym — to walka o realizację pomyślniejszego bytu milionowych mas ludu polskiego. Celem naszym — jest ugrun-

towanie zachodniej cywilizacji i rozwój własnej polskiej i chrześcijańskiej kultury na ziemiach polskich.

3) Pragniemy przebić się drogą prostą — do jasnej sytuacji z pośród narodów Europy i w tym marszu nie ma między nami różnic. Całe społeczeństwo polskie, solidarne i zwarte — stoi przy Marszałku Śmigłym, gdy jako Wódz Naczelny prowadzi naprzód karne i mocne i z każdym miesiącem coraz mocniejsze szeregi naszej narodowej armii. Polska wie, że może zawsze liczyć na swego Wodza, a Naczelny Wódz wie, że w chwilach napięcia maszeruje równym krokiem z armią cały — całą duszą — oddany mu naród.

4) Musimy uczynić Polskę zespołem tak odpornym i twardym, tak cennym i niezawodnym w sojuszu i przyjaźni, i tak groźnym i bezwzględnym w obronie i walce z nieprzyjacielem, na tyle samodzielnym gospodarczo i finansowo, na tyle wewnętrznie jednolitym i jednorodnym, by każda burza dziejowa rozbiła się u podnórza naszych granic państwowych, by honor Polski nie był nigdy lekceważony i deptany, by naszych spraw nie próbowano nigdy rozstrzygać bez nas, by naszych rodaków, zamieszkałych za granicą, nie odważono się bezkarnie krzywdzić i poniewierać.

5) Prawo do sprawiedliwości międzynarodowej mają tylko narody silne, zwarte i politycznie zorganizowane.

6) Dążymy do rządnej i karnej demokracji.

7) Na nas, na współczesnym pokoleniu ludzi myślących i ludzi zdolnych do walki w Polsce, spoczywa obowiązek wydarcia narodu z kleszczy zdegenerowanego światopoglądu i zakłamanej polityki niezależnie od tego, czy jej utajone źródła wypływają z zakonspirowanych „jaczejek“ komunistycznych, czy z lóż masońsko - liberalnych, czy też z ugrupowań t. zw. międzynarodówki złotej.

Kierunkowa naszego pochodu winna iść ku demokracji zorganizowanej, służącej rzetelnie idei państwowej i idei narodowej, pragnącej realizować wielkie ogólnopaństwowe cele, a więc solidarnej przez entuzjazm dla pracy i postępu, a wiążącej dla realizacji określonych celów te ugrupowania polityczne polskie,

które wymieniłem już w kwietniu (polskich narodowców i polskich ludowców — przypisek redaktora). Podstawą jej działań winna być Konstytucja Polska, która funduje silną władzę wykonawczą, która daje Prezydentowi Rzeczpospolitej prerogatywy, umożliwiające mu ponoszenie historycznej odpowiedzialności we współczesnych arcytrudnych warunkach, która wymaga dobrej, uczciwej i sprawnej administracji i gospodarki w Państwie. Stan faktyczny — stokrotnie usprawiedliwiony sytuacją zewnętrzno - polityczną — utrwalił też specjalne w Państwie stanowisko dla Naczelnego Wodza Sił Zbrojnych. On dźwiga na sobie zadania, przewyższające odpowiedzialnością i to, co normalnie czyni rząd, i to, co stanowi zakres działania władzy ustawodawczej.

8) Uznajemy, że obecna ordynacja wyborcza uczyniła dużo złego i pragniemy naprawienia tego błędu.

Poczucie sprawiedliwości wymaga, by przywrócić powszechność prawa wyborczego do Senatu. Ordynacja wyborcza musi być odbiciem naczelnej zasady zbliżenia obywatela do Państwa.

9) Chcemy zamknąć przeszłość i otworzyć wyścig zasług w nowym biegu. Nie mamy żadnego ustępstwa na sprzedaż i nie domagamy się w stosunku do nas żadnej innej postawy ludzi, którzy, jak równi z równymi, dzielić będą ciężar wielkiej odpowiedzialności za losy i rządy w Polsce.

10) Nikt nie ma prawa, by dziś — w chwili wybuchów wulkanu historii — jego indywidualna sprawa, czy jego niechęć do akcji zjednoczenia i pojednania, czy niechęć do rządu, który jest czynnikiem zmiennym, utrzymywała naród polski na trwałe w rozproszeniu sił, które tak bardzo Polsce są potrzebne.

EGZEMPLARZE OKAZOWE „Polskiej Myśli Niezależnej" rozsyłane są czterokrotnie. Kto więc w międzyczasie nie wpłaci prenumeraty, na piąty egzemplarz liczyć nie może.

W Wilnie rozegra się interesująca walka wyborcza

Powtarzamy za wileńskim „Słowem" artykuł (z 19 b. m.) podpisany przez naczelnego redaktora tego pisma p. Stanisława Mackiewicza:

„W dniu wczorajszym gen. Żeligowski nadesłał swą zgodę na kandydowanie z okręgu 46 Wilno — miasto i ja ją nadesłałem.

Oczywiście, nie ośmielam się nawet przyrównywać swej skromnej osoby do postaci generała, słynnego zasługami wojskowymi i historycznym zajęciem Wilna. Ale łączy nas jedna cecha: — i on i ja jesteśmy niezależnymi od Ozonu. I jego i mnie będzie Ozon zwalczał.

Należy zwrócić uwagę, a raczej należy powtórzyć za gazetami warszawskimi, które to już wcześniej spostrzegły, że jedynie w Wilnie znalazły się dwie kandydatury niezależne obok siebie. Nie braknie co prawda i w innych miejscach Polski kandydatur niezależnych, ale wszędzie jest to jeden kandydat, wyborcy zaś głosują na dwóch, czyli głosując na niezależnego, będą też głosowali na ozonistę. Tutaj w Wilnie jest dwóch kandydatów niezależnych, przeciwstawiających się kandydatom Ozonu, wśród których jest szef tej organizacji gen. Skwarczyński.

Wyobraźmy sobie, że w głosowaniu przejdziemy: gen. Żeligowski i ja. Wtedy Ozon może sobie zwyciężać we wszystkich innych okręgach, jednak w triumfie zwycięskim będzie mu coś przeszkadzało. Pozostanie uczucie, że w jedynym okręgu, w którym się pojawili kandydaci niezależni, — za nimi, a nie za Ozonem opowiedzieli się wyborcy.

W tych warunkach walka wyborcza w Wilnie nabiera dużego znaczenia. Kto chce, może ją nazwać redutą antytotalistyczną, albo anty-ozonową Częstochową, która być może cały kraj obroni przed zglajchszaltowaniem, tak dalekim od psychiki polskiej, tak zubożającym naszą myśl polityczną, tak szkodliwym.

Zdajemy sobie sprawę z nierówności, a raczej odmienności środków w tej walce.

Szeregiem innych rzeczy posiłkować się bądź nie możemy, bądź nie chcemy.

Natomiast mamy dużą przewagę moralną. Nie mówię już o heroicznej postaci gen. Żeligowskiego, tak wielką i tak zasłużoną cieszącego się u nas popularnością. Ale sądzę, że sama niezależność dużo znaczy. Ozon nie zdaje sobie sprawy, jak dalece glajchszaltowanie Polski jest niepopoularne. Sądzę, że go wybory wileńskie o tym przekonają.

Nie jest mi na rękę, że pisząc o wyborach wileńskich, muszę poniekąd pisać we własnej sprawie. Pierwotnie zamierzałem przejść przez zgromadzenie wyborcze i zrezygnować, jak to uczynił poseł Czapski. Ale zwrócono się do mnie z prośbą o kandydowania ze strony tak poważnej, że odmówić nie chciałem.

Będę agitować za gen. Żeligowskim, ale nie będę do walki wyborczej wprowadzać momentów o charakterze wojskowym. Do Sejmu kandyduje nie generał broni, Lucjan Żeligowski, lecz obywatel Lucjan Żeligowski. Będę się starał prowadzić te wybory na wysokim poziomie i apeluję do strony przeciwnej, do p.p. gen. Skwarczyńskiego, Maleszewskiego i Kaszubskiego, aby zechcieli również walczyć po dżentelmeńsku."

Kandydatura dr. Putka i jej następstwa

W innej dzielnicy Polski, w okręgu Nr. 87 (Wadowice — Myślenice — Żywiec), kandyduje na pierwszym miejscu b. poseł i b. więzień brzeski, dr. Józef Putek.

Polityczny działacz ten, lubiący chodzić w „pojedynkę", przeszedł pokolei liczne ludowe ugrupowania, a ostatnio, w lutym r. b. wykluczony został uchwałą kongresu ze Stronnictwa Ludowego za niekarność organizacyjną.

W całej swojej karierze politycznej dr. Putek maszeruje inaczej, aniżeli inni działacze, posiada inny, swoisty krok, niby ów kozacki „inochodiec". Ale w rodzinnej Choczni, gdzie był wójtem i w powiecie wadowickim, posiada pewną popularność. Wieś czasami lubi takich „inochodców".

Popularność dr. Putka byłaby zapewne jeszcze większa, gdyby nie jego skłonność do walki z duchowieństwem katolickim, co pociągało za sobą rozliczne komplikacje i trudności, nie tylko lokalne. Doszło do tego, że dr. Putek został ekskomunikowany przez władze kościelne.

A tymczasem nagle i nieoczekiwanie, dnia 13 października wypłynęła w okręgu Nr. 87 kandydatura poselska dr. Putka i to na pierwszym miejscu. Pozycję drugą zajął tam p. Zygmunt Doellinger, b. starosta, a obecnie „sam" szef organizacyjny Ozonu. Dało to powód do wielu komentarzy, pogłosek, przypuszczeń.

Zaprzeczeniu Ozonu, jakoby dr. Putek kandydował całkowicie „na własną rękę", nikt nie uwierzył. Przesada w lokacie na liście kandydatów, wysforowanie się przed „samego" p. Doellingera, dało do myślenia. Zrozumiano powszechnie, że dr. Putek jest wprawdzie kandydatem „dzikim", ale wspieranym przez władze Ozonu, a może i przez inne władze.

Potwierdzeniem tych domniemań stała się odezwa przedwyborcza, rozesłana do członków okręgowego kolegium wyborczego w okręgu Wadowice — Żywiec, przed dniem 13 października.

W odezwie tej m. in. powiedziano:

„Dnia 13.10.1938 wybierze Pan kandydatów na posłów. Chwila dzisiejsza wymaga od Pana stanowczości, rzetelnego *i bezinteresownego spełnienia obowiązku w stosunku do Państwa Polskiego.*

Oddanie głosu na kandydatów: 1) dr. Putek Józef; 2) dr. Doellinger Zygmunt, będzie dowodem wysokiego poczucia patriotyzmu i gwarancją Silnej, Mocarstwowej i Zjednoczonej Polski.

Tylko w jedności i zgodzie siła i nasza potęga. Jedynie ci kandydaci zapewnią nam:

1) obronę naszej wiary katolickiej, 2) całość naszego mienia, 3) obronę naszych interesów, 4) utrzymanie przemysłu, rzemiosła i handlu w rękach Polaków - katolików.

Jedynie ci kandydaci uchronią nas od bratniego przelewu krwi, jakiego świadkami byliśmy w czerwonej Rosji, a obecnie w Hiszpanii i Czechosłowacji."

W tej właśnie odezwie zostało rozkonspirowane współdziałanie dr. Putka z Ozonem, przyczem pasowanie działacza z Choczni na obrońcę wiary katolickiej wywołało w Krakowskiem zdumienie zrozumiałe.

Władze katolickie zareagowały już na kandydaturę dr. Putka, wystawioną w porozumieniu z Ozonem. Metropolita krakowski, ks. arcybiskup Sapieha nie zezwolił na kandydowanie ks. Weryńskiemu z Krakowa. Ks. Henryk Weryński znalazł się na pierwszym miejscu listy kandydatów w jednym z okręgów m. Krakowa. Był to jedyny ksiądz, który na obszarze archidiecezji krakowskiej zamierzał ubiegać się o mandat poselski. B. poseł ks. Lubelski działa i kandyduje na terenie diecezji tarnowskiej.

Zakaz ks. metropolity arcybiskupa Sapiehy skreślił z list kandydackich w archidiecezji krakowskiej jedyną kandydaturę księżą. I to jest właśnie jedno z następstw kandydatury dr. Putka. („Kurier Polski").

Arystokracja polityczna na bocznej rampie

Prasa konserwatywna, wnioskując ze składu osobowego wybranych kandydatów poselskich, określa przyszły Sejm jako Sejm ludzi nieznanych, ludzi, nie mających wyrobienia politycznego i, nie rokujących tym samym owocnej pracy na terenie parlamentarnym.

Oczywista. Książąt ani hrabiów wśród kandydatów nie ma. I nie tylko arystokracji rodowej. Nie ma wśród przyszłych posłów nazwisk okrzyczanych, osłuchanych, nie ma ludzi „oblatanych" po wszystkich poprzednich sejmach, słowem tej „arystokracji" politycznej brak.

Ale czy to takie zło? Jesteśmy wprost odmiennego zdania. Życie polityczne odświeży się, do parlamentu wtargnie trochę świeżej atmosfery. Właśnie dobrze, że OZN. skończył ze starymi „graczami" politycznymi, z firmantami, co to swoje wyrobienie polityczne posuwali do przesady, nie mając nic innego na uwadze jak wyrabianie sobie „marki".

Właśnie taki Waleron, Sanojca, Putek i kilku innych, na szczęście nielicznych, dobrej atmosfery dokoła siebie nie robią. Znamy ten typ ‚działacza", co to pyskówki odwalać potrafi, ale do roboty rzeczowej go nie ma.

Państwo przypominają sobie jak to ongiś przy byle drobiazgu ustawodawczym pchało się na mównicę kilkudziesięciu posłów, aby się wygadać, aby właśnie błysnąć talentem krasomówczym, jeden drugiego chciał przekrzyczeć, rzecz się wlokła w czasie, stenografowie parlamentarni konali ze zmęczenia, bo pan poseł mówił, mówił, mówił.

Ale do pracy pozytywnej w komisjach brak było zawsze ludzi. Ciągle ci sami musieli robotę odwalać. Kadencje wlokły się jak katar kiszek. Ale za to, jak się zbliżały ferie, Sejm pustoszał jak zadżumiony, a panów posłów nie można było znaleźć na lekarstwo. Chyba, że przy wypłacie diet. Wtedy znów bywali w komplecie. Albo gdy węszyli jakąś efektowną rozgrywkę. Taką na rozgłos obliczoną.

Pamiętamy tych panów „działaczy" o popularnych nazwiskach. A jakże. Każdy z nich dzierżył po cztery prezesury w terenie, sześć wiceprezesur, kilka członkostw w radach nadzorczych, bo to człowiek ustosunkowany, o nazwisku... Ale doba ma tylko 24 godziny. Trzeba przytym jeść, spać i rodzinie chwilę poświęcić. To też ci panowie nigdzie się nie oddawali bez reszty. Wszędzie się mignął i tyle. Wszędzie stwarzał pozory pracy i nic więcej. Wszędzie „pływał", węsząc tylko osobisty interes. Ta robota w terenie była tylko po to, żeby o nim wyborcy nie zapomnieli. A szczególnie ożywiali się pod koniec kadencji sejmowej. Tym ludziom zdawało się, że posłować będą póki im życia starczy. Nieszczęśni dobroczyńcy.

Dziś zostali odstawieni na boczną rampę. Bogu dzięki. Bardzo słuszne założenie. Muszą się imać pozytywnej pracy. Idą nowi ludzie.

Nieznani? Być może. Byle uczciwi i z dobrą wolą do pracy. Ponieważ posłowanie będzie dla nich atrakcją, włożą w to posłannictwo więcej sił i energii niż te „oblatane" baletnice parlamentarne. Byle się tylko w swej nowej roli zbytnio nie rozsmakowali....

Zresztą należy sobie uświadamiać, że dzisiejszy parlamentaryzm tak samo odmiennie musi być pojmowany, jak i rządy demokratyczne.

W dolinie Chochołowskiej straszy

W związku z „rozbujaną" propagandą lotu balonowego do stratosfery, pisaliśmy przed siedmiu tygodniami m. in. następująco:

„Nie rozumiemy jednej rzeczy: Jak można z poważnej imprezy naukowej, bo do takiej zaliczamy przygotowania do jesiennego lotu stratosferycznego, robić sensacyjną bombę, referowaną przez laików i podjadków prasy brukowej. Bo do tego doszło, że każdy szewek powłoki balonowej „Gwiazdy Polski" omawia się z przesadną drobiazgowością i dosadnym cmokaniem z zachwytu. Aż mdłości biorą.

A jak w stratosferze zajdzie jakaś zgoła nieprzewidziana okoliczność i ta wymoszczona gumą oraz legendą powłoka — „nawali"? Co uchowaj Boże, ale z żywiołem nie przelewki. Więc co wtedy? Gorycz i spuszczone na kwintę nosy."

Otóż stało się. „Gwiazda Polski" bez czerepu wędruje z powrotem do Legionowa. A w Dolinie Chochołowskiej straszy... „Najeźdźca" uszedł w popłochu. Poczta polska zawstydzona, bo po raz pierwszy nie ze swej winy, nie doręczy adresatom listów. Chyba z rocznym opóźnieniem. A było tego sporo, bo ponoć znaczków wykupiono na sumę blizką 200 tysięcy złotych. Filateliści z całego świata radowali się na tego białego kruka.

Jak wiadomo, do ostatecznego momentu „rajcowano" ludzi niebywałością lotu. W ostatnich dniach bowiem dodano do czarującej całości i to, że p. Jodko - Narkiewicz w drodze powrotnej ze stratosfery wyskoczy na wysokości 5 tysięcy metrów ze spadochronem. Maluczko brakowało, a dodano by, że w czasie tego skoku pan ów udzielać będzie autografów...

I otóz cała ta impreza, abstrahując od samego momentu katastrofy, napełniła niewątpliwie wszystkich goryczą. Ba, niesmakiem. Bo, jak doniesiono z wielu stron, impreza nie pozbawiona była grubych błędów.

Po pierwsze — jak powiadają — Dolina Chochołowska wybrana była wadliwie. Chodziło przecież o punkt możliwie zaciszny, dogodny do napełniania balonu i startu, a tym czasem w dolinie tej panują wiatry.

Po drugie — wybranie wodoru do wypełnienia balonu za-

miast niepalnego helu, też było zasadniczym błędem. Nie miano ponoć czasu na sprowadzenie helu z Ameryki...

Po trzecie — start mógł się odbyć dzień przedtem, w okresie pomyślnej pogody, ale (jak podaje „Kurier Polski"), startu nie można było urządzić, ponieważ większość ekipy rozjechała się, nie było na miejscu obsługi radiowej, meteorologicznej, a nawet — pilotów!

Ktoś tu powinien mieć nos spuszczony na kwintę, ktoś tu powinien uderzyć się w piersi i wołać publicznie: mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa!

Ale wszystko nagle przycichło, zrejterowawszy z doliny, w której straszy... Jakoś nikt nie udziela wywiadów, nie zwołuje konferencyj prasowych, wszystko takie małomówne z tego obozu pogotowia stratosferycznego... Nawet nieodstępliwy doradca i conferencier tego nieudałego wyczynu p. mjr. Stevens coś tak raptownie przycichł, choć był ogromnie przed tym wymowny i perswadujący. Chyba nie z platonicznej miłości do Polski i Polaków.

Naturalnie, nikt się nie przyzna — powiadają w „Słowie" — ile naprawdę kosztowała ta kompromitacja. Sam balon, sprowadzenie Stevensa z żoną, podróż Burzyńskiego do Ameryki, nieskończone jazdy do Zakopanego najrozmaitszych speców, szosa do Chochołowskiej, zmontowanie obozu, utrzymanie go przez sześć tygodni, gazociąg, a ilu ludzi brało grube pensje i od roku nie zajmowało się niczym innym, jak tym poronionym lotem. Parę podatkowych milionów uleciało w stratosferę murowanie.

Nie dziw więc, że jedno z pism rozważania swoje na temat nieudałego lotu opatrzyło takim tytułem: „Balon nadymany bluffem spalił się ze wstydu za nieudolnych aranżerów stratosferobujdy". A nadworny poeta krakowskiego Ikaca sprokurował taki wiersz:

Więc balon, na złość przekorze krytycznej,
Osiągnął jednak — sukces połowiczny.
Wyleciał — choć się nie wzniósł (zgodzi się kto szczery),
Jest przy tym strata — choć nie było sfery.

Dla tego w Dolinie Chochołowskiej musi straszyć.

Szmaciarz

— Panie drogi, ale 70 groszy za kilo szmat, to trochę za drogo. Żydzi taniej oddają. Proszę zostawić rachunek.

Ztymi słowy zwróciła się kasjerka naszej drukarni do jakiegoś młodego człowieka, który, nie zrażając się ani tonem, ani treścią słów, wypisywał rachunek i w najuprzejmiejszej formie przekonywał, że jest odwrotnie, że cena jest naprawdę konkurencyjna, gatunek „towaru" wyborowy, na realizację rachunku chętnie poczeka, zawsze gotów do usług itp.

Chodziło o objekt wartości kilku złotych. Pani kasjerka, jak to zwykle bywa, musi coś powiedzieć w obronie interesu, choć ze znaczącego jej do mnie spojrzenia można się było zorientować, że dostawa jest uczciwa. Ale postawa tego młodego człowieka, handlującego szmatami, a czyniącego tak dobre, z kupieckiego punktu widzenia, wrażenie, zainteresowała mnie bliżej. Zagadnąłem go:

— A kalkuluje się ten handel szmatami? (Bo należy wiedzieć, że szmat towarowych itp. używa się do czyszczenia maszyn).

— Cóż? — odpowiedział młody człowiek po zastanowieniu — walczy się. Aby tylko się nie dać Żydom. Bo musi pan wiedzieć, — pośpieszył z informacją, — że to brudny handel, nawet pogardzany, lecz niejeden Żyd w Warszawie dorobił się na nim dużej kamienicy. Ta gałąź handlu też była do niedawna całkowicie w ich rękach. Dyktowali ceny i dorabiali się fortuny. Najzwyklejsi hałaciarze. Właśnie na tych szmatach. Lecz dzisiaj myśmy wkroczyli na to pole pracy. Jest tu nas trzech chrześcijan. Nigdybyśmy nie trafili na tę drogę handlu, gdybyśmy właśnie u nich nie zdobyli dobrej praktyki, nie poznali klienteli i źródeł zakupu. Groszowy interes, ale jeśli idzie masowo, można żyć. Reszta zależy od przedsiębiorczości i ruchliwości. Proszę spojrzeć na moje ręce. Brudne, to prawda, ale ja się pracy nie wstydzę.

— Bardzo słusznie — podchwyciłem, obrzucając bardzo przychylnym spojrzeniem naszego dzielnego pioniera. Ale nie dość na tym. Tak się złożyło, że zapytałem go, czy pada deszcz, bo jak raz szykowałem się do wyjścia.

— Trochę pada. Ale to nieszkodzi, ja pana odwiozę samochodem.

Ogarnęło mnie zdumienie. Zauważył to widocznie ów młody człowiek, bo pospiesznie dodał: — Tak, mam własny samochód. Kupiłem za 180 złotych.

Jeszcze większe zdumienie owładnęło mną, a jednocześnie uczucie zakłopotania. Bo nie wyobrażałem sobie wojażu w samochodzie za 180 złotych! Tym bardziej, mając na uwadze swoje przyzwoite palto i czyste ubranie. Wozi szmaty... Pewno jakimś niesamowitym gratem...

Prawie że z lękiem wyszedłem z drukarni. Za chwilę, to co zobaczyłem, przeszło wszelkie moje oczekiwania. Przed domem staoł auto z prawdziwego zdarzenia. Kryte, na czterech normalnych kołach. Starszy nieco rocznik, ale ba, skórą w środku wybijane! Ruszyło z miejsca, że aż hej! I hamulce w porządku i skrzynka biegów i motor wyregulowany.

Okazuje się, że nasz dzielny przedsiębiorca kupił używaną taksówkę, zapłacił gotówką, a że jest dobrym automobilistą, więc się mógł na taką tranzakcję puścić, bo wiedział, że z maszyną da sobię radę. W interesie środek lokomocji zawsze pożądany, dostawa ma duże znaczenie w handlu. A te 180 złotych po czterech miesiącach i tak się zamortyzują. Byle się Żydom nie dać...

Tak zakończył swoje opowiadanie młody, inteligentny człowiek, handlujący szmatami.

Zetknięcie się z nim było dla mnie niezwykle radosnym i budującym momentem w walce o lepsze jutro Polski. Ten młody, polski „szmaciarz" dowodzi swoim istnieniem, że organiczna walka ekonomiczna o polski stan posiadania na niejednym odcinku jest dobrze pojęta przez społeczeństwo. Ten dzielny przedsiębiorca napewno stroni od akcji bicia Żydom szyb, ale wyrywa im całe futryny i odrzwia z gmachu posiadania w ekonomicznej walce, gdzie panują równe prawa i gdzie zwycięża praca, zabiegliwość i wytrwanie. Oby więcej takich było.

Młody, polski „szmaciarz" sprawił, że przeżyłem piękny i radosny dzień.

Strajk mistrzów brzytwy

We Lwowie zastrajkowało 400 pracowników fryzjerskich. Domagają się 8-godzinnego dnia pracy dla siebie.

Zastanawialiśmy się jak zadośćuczynić tym postulatom. Bo, że robotnik w górnictwie, hutnictwie czy przemyśle włókienniczym ma unormowaną pracę, to zrozumiałe. On nie siedzi a pracuje. I to bardzo ciężko. Ale fryzjer? Czeka na gościa, wertując w międzyczasie gazety czy też informatora wyścigowego. A jak gość przyjdzie, to goli, a jakże, strzyże, onduluje, farbuje włoski, rzęsy, wąsy i bierze za to procent od właściciela interesu. Bo jak nie ma co golić ani strzyc, to co tu gadać o ośmiogodzinnym dniu pracy. Jak tu dzielić skórę na niedźwiedziu, skoro go jeszcze nie ma? Przecież „produkcja" w zakładzie fryzjerskim zależna jest od dopływu „materiału", a ten materiał chodzi sobie po ulicy i przyjdzie albo nie.

Dla tego ogromnie ciekawi jesteśmy, jak te lwowskie golibrody unormują swój dzień pracy. Szczególnie w poniedziałki i soboty...

GODNE BACZNIEJSZEJ UWAGI

z łamów prasy polskiej ub. tygodnia:

Z Kurpiowskiego reportażu sądowego

Pracując od kilku lat na Kurpiach chciałbym podzielić się z czytelnikami swymi spostrzeżeniami i ciekawszymi przejawami życia „ludu puszczańskiego", zahaczającymi o wokandę sądową. Regionalizm jest „w modzie", więc i o Kurpiach często się słyszy, lecz na ogół wie się o nich tyle tylko, iż kiedyś brali oni po bohatersku udział w wojnie ze Szwedami i że obecnie można jechać z wycieczką „Orbisu" na kurpiowską procesję Bożego Ciała do Myszyńca.

Z nazwą Kurpi zetknąłem się na swym terenie po raz pierwszy w Sądzie Grodzkim w Myszyńcu zupełnie przypadkowo. Sędzia rozpoznawał właśnie sprawę o zniewagę. Znieważony był jakiś szlachcic zagrodowy, którego nazwano... Kurpiem. Jak mnie poinformował komendant miejscowego posterunku, powiedzenie „ty Kurpiu!" w hierachii zniewag zajmuje tutaj poważne miejsce, zaraz po „sufraganie". *Okazuje się, że są*siadująca

z Kurpiami drobna szlachta zaściankowa szczególnie j*est* w*ra*ż*liwa na to przezwisko* i *ostro* n*a* nie *re*aguje.

Kurpi znajdujemy w odległości kilkudziesięciu kilometrów od Warszawy, na terenie powiatów przasnyskiego, ostrołęckiego, łomżyńskiego, a częściowo i makowskiego, gdzie kiedyś były nieprzebyte puszcze. Stąd też pochodzi nazwa „lud puszczański" której Kurpie najchętnie używają. Wystarczy krótki rzut oka wstecz na historię oraz na położenie tych ziem, aby ustalić, jakie to dzisiejsze przepisy karne mają tu najwięcej zastosowania. Kurpie żyli niegdyś spokojnie i bogobojnie, utrzymując się z polowania, rybołówstwa i pszczelnictwa oraz czerpiąc inne pożytki z lasów. Dziś tych lasów jest niewiele, a rolnictwo nie popopłaca z uwagi na piaszczystą i torfiastą, podmokłą glebę, *więc Kurp, chcąc żyć jak dawniej, wchodzi w kolizję z prawem, bo — uprawia kłusownictwo i nielegalne rybołó*wstwo, niszczy *lasy i podbiera miód, — nie zawsze z własnych uli.* Trafia się też nowa okazja dla zarobków: PRZEMYT.

Tu właśnie na pruskiej granicy, od Grajewa do Mławy szereg ludzi żyło wyłącznie z przemytu. Zbogaciły się dzięki przemytowi okoliczne miasteczka, oraz powstawały nowe wsie i osady. Przemyt uprawiano zarówno za rosyjskich czasów, jak i obecnie, po wojnie. Wielkie szlaki przemytnicze, prowadzące do Warszawy szły przez miasteczka kurpiowskie — Chorzele, Myszyniec i Kolno. Na kontrabandzie zarabiał głównie „hurtownik", anonimowy właściciel towaru w Warszawie; biedny Kurp dostawał tylko swój udział za transport, choć niejednokrotnie narażał swe życie lub nawet ginął od kuli strażnika. Ostatnio i przemyt „zawodzi". Ochronę granicy wzmożono z tej i z tamtej strony, ostre przepisy dewizowe i inne zarządzenia utrudniły kontrabandę, która zresztą i nie bardzo się opłaca. Idzie więc Kurp na robotę do Prus (często drogą nielegalnego werbunku) i na Łotwę, lub szuka pracy u swoich. Twardy to naród i mimo tych ciężkich, zmienionych warunków, przystosował się do nich, stwarzając sobie nawet w niektórych okolicach, gdzie ziemie są lepsze, względny dobrobyt.

Prócz wielkiej liczby spraw sądowych i administracyjnych o przestępstwa leśne, kłusownictwo i t. d., *prawdziwą plagą są tu przestępstwa o nielegalne posiadanie broni.* Z czasów wojny i odwrotu bolszewickiego w 1920 roku pozostało na Kurpiach wiele broni wojskowej, ukrytej po wsiach. Istnieją też kuźnie, które wyspecjalizowały się w przerabianiu starych karabinów nastrzelby myśliwskie. Wiąże się to oczywiście z zamiłowaniem ludności do polowania i kłusownictwa, a powoduje „przy okazji" wiele wypadków nieumyślnych zabójstw i uszkodzeń ciała. Kurp z natury jest podejrzliwy, wyrachowany i u sąsiadującej z nim

szlachty ma opinię „krętacza". Istotnie spotkałem tu SPECJALNIE WYRAFINOWANE OSZUSTWA I FAŁSZE DOKUMENTÓW. Krzywoprzysięstwo urasta również do rozmiarów plagi. Strony przedstawiają po kilkunastu świadków (nawiązując do dawnej, znanej tu z tradycji „instytucji 12 świadków"), których zeznania są rażąco sprzeczne i w rezultacie nie można ustalić stanu rzeczy.

Spotykałem często wypadki oszustw wekslowych, połączonych z podrobieniem podpisów, co reżyserowano w ten sposób: Wierzyciel, otrzymawszy na pożyczoną sumę weksel, podrabiał podpis wystawcy (zwykle kalkulując go na innym wekslu) i następnie, odebrawszy kiedyś dług, zwracał dłużnikowi ten właśnie weksel podrobiony. Wystawca, nie podejrzewając podstępu i widząc „swój" podpis, weksel niszczył. Wtedy po upływie pewnego czasu, wierzyciel ponownie dochodził należności, legitymując się autentycznym wekslem, który sobie podstępnie zatrzymał.

Udowodnienie fałszu czy oszustwa było niezmiernie trudne, wobec braku dowodu rzeczowego oraz przedstawienia w razie potrzeby fałszywych świadków. Dlatego też Kurpie są i we wzajemnych stosunkach bardzo nieufni. Przy każdej okazji lubią też osobiście załatwiać swe sprawy urzędowe, unikając pisma i pośrednictwa. Przy skazaniu na grzywnę wolą na ogół karę odsiedzieć, niż płacić, do czego zresztą nieraz przyczynia się bieda.

W związku z tym miałem kiedyś w okresie subskrypcji „Pożyczki Narodowej" smieszny wypadek. Przyszedł do mnie do prokuratury jakiś Kurp ze wsi Kadzidło i żalił się, że mu „wyznaczono" 50 złotych na pożyczkę, a on jest biedny i tej sumy zapłacić, nawet ratami, nie może. *Prosił mnie więc, aby mu tę pożyczkę zamienić na areszt, gdyż on już woli ją odsiedzieć.*

Parę ciekawych spraw muszę omówić szczegółowiej. Jedna z nich dotyczy Kurpia ze wsi Łyse spod Myszyńca, *który sprzedał swą 33-letnią żonę, sąsiadowi za 100 złotych.* Z przebiegu tej tranzakcji, dokonanej zresztą za zgodą zainteresowanej, zapozna nas dokładnie protokół policyjny z dnia 19.IV.1933 r. Nr. S. 49/33. Przesłuchany był przede wszystkim „sprzedawca" Paulin S., lat 43, katolik, rolnik, zamieszkały we wsi Łyse, który zeznał co następuje:

„W dniu wczorajszym, t. j. 18 kwietnia r. b. o godz. 4 po południu w mieszkaniu Anny T. w Łysych sprzedałem moją żonę Mariannę mieszkańcowi wsi i gminy Łyse Stanisławowi C. za kwotę 100 złotych, którą to kwotę C. wręczył mi, a żonę zabrał do swego domu i następnie udał się z nią do mojego mieszkania, gdzie spał z takową całą noc, ja zaś po otrzymaniu gotówki za żonę udałem się na nocleg do swej siostry, zamieszkałej na kolonii w Łysych, Katarzyny L. Otrzymaną gotówkę 100 złotych za

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Adres odbiorcy:

sprzedaną żonę przepiłem i takowej nie posiadam. Powodem do sprzedania żony mej przeze mnie C. Stanisławowi było to, że żona moja Marianna przeszło rok czasu żyje z C., miewając z takowym stosunki płciowe, wobec czego nie mogąc dłużej na to zgorszenie patrzeć, sprzedałem ją C., by jej się pozbyć. Z wyżej wymienioną sprzedaną żoną moją zawarłem związek małżeński w roku 1922. Zeznałem wszystko. Odczytano:"

To samo mniej więcej zeznał i „nabywca" 27-letni Stanisław C., z tą tylko różnicą, że całą tranzakcję uważał za żart, co nie przeszkodziło mu jednak zabrać „kupionej" kobiety do swego domu. Okazało się przy tym, że „nabywca" był żonaty i miał u siebie teściową. Żona i teściowa wypędziły z domu Mariannę S., ale „nabywca" poszedł wtedy za nią do jej mieszkania. Następnie Marianna S. pozostała u męża, niezbyt zadowolonego z takiego obrotu sprawy.

Ciekawe były komentarze sąsiadów, którzy tę tranzakcję uważali za oszustwo, po prostu z powodu... wysokiej ceny, tłumacząc niefortunnemu „nabywcy", że *„za 100 złotych mógłby przecież porządną krowę kupić"*.

M. R. Madey
(„Głos Sądownictwa").

POLSKA MYŚL NIEZALEŻNA

tygodnik, wychodzi w każdą sobotę. Warunki przedpłaty: kwartalnie — zł. 2.50; półrocznie — zł. 5; rocznie — zł. 10; miesięcznie — 85 gr.; z dostawą do domu. Konto czekowe P. K. O. — 25.441.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, Wilcza Nr. 16, m. 28.
Redaktor przyjmuje od godz. 13—15 i od 17—19. Tel. 9-53-56.

Redaktor i wydawca: Jan Kozubski, Warszawa.

Zakłady Graf. „St. Skierkowski i Sp. z o.o." Warszawa, Hoża 55, tel. 7.22.05